

Jerzy Lengauer

Dziennik Brakonieckiego

W kilku (niewielu) poprzednich książkach kronikarskich, wspomnieniowych czy pamiętnikarskich jeden z najważniejszych współczesnych poetów Warmii (i chyba także Mazur), nieoceniony olsztyński animator kultury i sztuki oraz inicjator wielu projektów, mających wpływ na rozpoznawalność Olsztyna na mapie kulturalnej Polski i poza nią, przedstawiał czytelnikom swoje miejsce pracy, tworzenia, ideały, potrzeby edukacyjne, swoje i miasta, tudzież największy zdaje się zamysł, mianowicie otwarcie regionu, z którego się wywodzi, na państwa sąsiednie i połączone z owym miejscem historycznie, czyli wielonarodową wspólnotę. Jednak nigdy **Kazimierz Brakoniecki** nie opowiadał o tym wszystkim tak subiektywnie, tak ksobnie, jednocześnie otwarcie i docieklawie jak w „Dzienniku olsztyńskim”. Książka została wydana na siedemdziesięciolecie urodzin autora i nie można oprzeć się wrażeniu, że stanowi – choć pisana trzydzieści lat wcześniej – podsumowanie, rozliczenie nie tyle z życiem i twórczością, ile z kulturalnym i literackim środowiskiem Olsztyna, prowincji, jak często Brakoniecki nazywa miasto.

Jest to autentyczny pamiętnik pisany z dnia na dzień w latach gwałtownych zmian, opublikowany bez późniejszych ingerencji treściowych. Stanowi świadectwo czasów wielkiego przełomu, jednocześnie zanurzone w codzienności. Autor łączy w nim drobne zdarzenia z wielką historią i poetyckim widzeniem zmieniającej się rzeczywistości, co stanowi dowód na szczerłość zapisków „Dziennika”.

Rzecz rozpoczyna się w najważniejszym dla Polski roku drugiej połowy dwudziestego wieku. W niecały miesiąc po wyborach do kontraktowego sejmiku. I już na pierwszej stronie, w drugim akapicie autor przypomina, jaki stosunek do odchodzących, już wiemy, że na zawsze, prominentów komunistycznych, mieli ci, którzy tęsknili za zachodnią demokracją: „Częściowo demokratycznie wybrany parlament wybrał na prezydenta jednym zwycięskim głosem byłego wodza PRL – generała I sekretarza Wojciecha Jaruzelskiego, komunistycznego Pinocheta z grudnia 1981 roku. Na premiera desygnowano gen. MSW, osławionego Czesława Kiszczaka. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza na nowego I sekretarza wybrała ośmieszzonego w sejmie tow. Mieczysława Rakowskiego, od lat marzącego o realnej władzy” [1]. Ta postawa Brakonieckiego nie zmienia się, nie ewoluje, nie skłania się ku rozumieniu „mniejszego zła”. Przynajmniej do początku marca roku 1993, kiedy zapiski się kończą. Nieraz spotkamy się tutaj z obarczaniem PRL winą, czasami niekoniernie wprost, za stagnację kulturalną i

literacką, brak możliwości rozwoju dla młodych poetów i prozaików, przedkładanie pozycji w partii nad rozwój artystyczny, dominację w sztuce propagandy socjalistycznej, robotniczo-chłopskiej, pełzającą „rewolucję kulturalną”, kaganiec przed komunistycznymi władzami, podszczypywanie środowiskowe, brak pracy dla ludzi kultury, którzy jeśli już byli zatrudnieni, to nędżnie opłacani, czego od zakończenia studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim jest uważnym obserwatorem i... dowodem.



Mniej więcej pierwsze dwa lata zapisków Brakonieckiego to nie tylko obserwowanie zmian politycznych w Polsce i na świecie, ale duża doza lęku, próby przewidywania przyszłości. Widzimy autora, gdy ogląda wieczorne wiadomości, czyta codzienną prasę, rozmawia o wydarzeniach ze swoją żoną. Wszystko to znajduje komentarze w „Dzienniku”. Jednocześnie zachłystujemy się razem z pisarzem liberalizacją i demokratyzacją kraju, „Jesienią Narodów” państw Bloku Wschodniego, upadkiem muru berlińskiego oraz zjednoczeniem Niemiec i przerazamą wojną bałkańską, zbrojną interwencją Rosji Sowieckiej na Litwie, konfliktami na Bliskim Wschodzie. W tym czasie, powiązany w pewnym sensie ze stałą pracą w olsztyńskiej kulturze i zadomowieniem w kilkupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze bloku z wielkiej płyty na jednym z wielkich osiedli stolicy Warmii i Mazur, Brakoniecki spogląda w przeszłość i wiąże ją z teraźniejszością i swoją rolą w tujejszym środowisku artystyczno-literackim. Wspomnienia przedolsztyńskie są nieco zdawkowe, choć co jakiś czas w książce do

nich wraca. Głównie narzeka na swojego rodzaju brak opieki ze strony państwa, a może i możliwości rozwoju, których to państwo nie daje. Owo narzekanie ni to współgra, ni to kłóci się z podkreśleniem, że nigdy nie zapisał się do jakichkolwiek związków, organizacji i stowarzyszeń reprezentujących socjalistyczny reżim: „Unikałem stowarzyszeń, nawet studenckich, bo wszystkie miały w swoich nazwach «socjalistyczne», ale na pół roku w 1979 znalazłem się w olsztyńskim Stowarzyszeniu «Pax», w którym odkryłem, że w najgorszej sytuacji są takie właśnie uległe i reglamentowane organizacje społeczne jak ta całkowicie uzależniona prawem od komunistycznej władzy oraz ideowo... od Kościoła katolickiego, który «Pax» traktował jako katolickich pacholków reżimu” [2]. Być może stąd wynika bardzo dająca się odczuć wrogość do literackich przedstawicieli i orędowników socjalizmu, których oczywiście znajduje w Olsztynie. Ale nie dość tego, musi z nimi współpracować, układać się, znosić ich towarzystwo. Czy to obrzydzenie z powodu kontaktów z nimi, alergią na nich, chęć otrząśnięcia się, obmycia, jakiejś rytualnej ablucji powoduje, że w „Dzienniku” nie ma żadnych oporów, żeby opisać konformistyczne postawy, pijackie spotkania poetów i pisarzy, mierność artystyczną i kulturalną, wymienić nazwiska, stanowiska, funkcje... Ciekawostką jest wspomnienie pisarza wyjątkowego dla pokolenia wyrosłego na literaturze podróżniczo-awanturzystycznej i książkach Karola Maya, które na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych szukało nowych przygód i przez wiele lat było zaspokajane historiami o muzealniku-detektywie. Chodzi rzecz jasna o Zbigniewa Nienackiego, z którym Brakoniecki miał styczność, lecz nie wspomina tego pochlebnie. Nie można wszakże odmówić autorowi obiektywizmu, który jest także dowodem na to, jak bardzo na sercu i duszy leżał mu już wtedy kulturalny i edukacyjny rozwój regionu. Miałowicie oprócz nagany, kręcenia nosem, wytykania Brakoniecki składa ukłony wielkości artystycznej, talentowi, oddaniu Warmii i Mazur. Gani postawy, nie oblewa jednak pomników czerwoną farbą. Ma odwagę mówić o ludziach niemających talentu, a windowanych przez władze na stanowiska, pozycje, dopieszczanych finansowo, nagradzanych. Mając w pamięci te swoiste krótkie notki, przeliczamy podawane co jakiś czas w tekście niedenominowane jeszcze kwoty wypłat autora i jego żony, ceny poszczególnych artykułów spożywczych, opłaty za mieszkanie już w wolnej Polsce. Niby Brakoniecki wiąże je z sytuacją polityczno-gospodarczą, kolejnymi rządami, reformą Balcerowicza, szalejącą inflacją, ale granica 1989 roku zostawia nas w poczuciu niesprawiedliwości, jakiegoś szaleń-